

A dlaczego nie ja?

Nie pytała: dlaczego właśnie ona. Nie buntowała się i nie kłóciła z Panem Bogiem. „Kiedyś – kwituje krótko – znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze”.

Wypadek

W Jeleniej Górze mieli kupić Marzenie szkolne cymbałki. Wsiedli do autobusu kursowego w Kowarach: Marzena, jej brat i mama. To było w same Andrzejkę, tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. W Mysłakowicach na zakręcie autobus wpadł w poślizg, zsunął się z drogi, zatrzymał na metalowej barierce. Autobus nawet się nie przewrócił. Nikomu nic się nie stało... z wyjątkiem jednego pasażera, który siedział na kole. Metalowy pręt od barierki wbił się w samo udo. Noga powyżej kolana wisiała bezwładnie. Tym pasażerem była dziewięcioletnia Marzena.

„Pamiętam zgrzyt, płacz, a potem już tylko karetkę”.

W tę pierwszą noc po operacji Marzena leżała w sali na erce. Ciągle pytała panie w białych fartuchach, kiedy przejdzie na inną salę, tam gdzie jest więcej dzieci. Jedna z praktykantek troskliwie dopytywała się, czy Marzenę nic nie boli.

- Nie, ale ta noga jest taka ciężka - odpowiedziała Marzena.

- Jak to? Przecież ty nie masz tej nogi - zdziwiła się praktykantka.

I tak dziewięcioletnia Marzena dowiedziała się o amputacji nogi.

„Decyzję o amputacji nogi, która i tak byłaby sucha, podjął tato. Myślę, że to była trafna decyzja”.

Dorastanie

Marzena pływająca w jeziorze. Marzena na rowerze. Marzena na nartach. Marzena na rajdzie w górach. Marzena w krótkich spodenkach i sandałach. Obrazki jak z życia wielu nastolatek.

- Przyglądają się tylko starsi, dzieciaki do widoku protezy szybciej się przyzwyczajają - mówi Marzena.

Protezy nie dostała od razu. Zaraz po wypadku, w szpitalu, wszyscy nosili ją na barana. Uznała, że tak jest dobrze. Tak musi być. I nie pytała więcej „dlaczego”.

Na Boże Narodzenie była już w domu. Na jej osiedlu w Kowarach zrobiono lodowisko. Nigdy wcześniej nie jeździła na łyżwach. Tata pożyczył od kogoś jedną łyżwę, a do kul zamontował szpikulce. Ślizgała się po lodzie najpierw z nim, a potem już sama.

Pół roku spędziła w sanatorium.

- ... a później wróciłam do domu, na osiedle, do szkoły i było już zwyczajnie: szkoła, rower, wrotki, narty. I tak jest do dzisiaj. Nie ma o czym pisać - uśmiecha się Marzena, drobna delikatna blondynka.

Podkreśla, że najlepszymi terapeutami byli jej rodzice. Nie drżeli o jej bezpieczeństwo. Pozwalali jeździć na rajdy, kiedy zapaliła się do harcerstwa. Była tylko jedna zasada: jeśli decyduje się - nie ma odwrotu. Pewnie, że czasem ktoś podrzucił ją w jedną stronę do schroniska. Pamięta dobrze rajd

po Rudawach Janowickich i skrzyżowanie, na którym siedziała i powtarzała: „dalej nie pójdę”. Zostawili ją na tej drodze. I doszła”. Raz tylko tata przyjechał po nią na obóz. Czterotygodniowy obóz harcerski w lesie nad morzem wydał jej się za ciężki: nad morze daleko, do miasta daleko. Z koleżanką napisały do domu: „mamuś, tatuś, przyjedźcie po nas”. Zanim list doszedł, koleżanka się rozmyśliła. Marzena siedziała już z ojcem w pociągu. Drużyna przyszła na dworzec pożegnać się z nią. „Będzie rajd nocny i ognisko” – krzyczeli. Marzena wysiadła z pociągu.

### Stabilizacja

- Nigdy nie czułam się niepełnosprawna – głos Marzeny Tyrawy jest spokojny, zdecydowany, a z twarzy nie schodzi delikatny uśmiech – To do mnie przychodzą po pocieszenie, nie odwrotnie.

Bywa, że potknie się zimą na śliskim chodniku. Nie lubi, gdy ludzie podbiegają, żeby jej pomóc. Wtedy czuje się niedołączona. A przecież tak nie jest. Nigdy nie mówi: „boli mnie noga” – zawsze: „bola mnie nogi”. Zdarza się, że zapomni, gdzie w domu położyła protezę i szuka jej, jak inni kluczyków do samochodu. Znajomi zapominają i czasem klepną ją w nogę aż...do bólu ręki własnej. Ostatnio koleżanka wyciągała ją na jogę: „zapomniałam, że to odpada” – przypomniała sobie o protezie Marzeny.

Tylko jeden moment przypomniawszy o wypadku. Podanie do szkoły średniej. Chciała pracować z dziećmi. Nie przyjęli jej do szkoły w Lubomierzu. Napisali, że „ze względu na stan zdrowia”.

Skończyła szkołę dla fotografów. Ale to nie była praca dla niej. Zdecydowała się na liceum ekonomiczne. Pracowała w banku, a od kilku lat w biurze rachunkowym. Codziennie dojeżdża do

Jeleniej Góry. Teraz łatwiej: kupiła sobie - jak zaplanowała - mały samochód prosto z salonu.

- I tak sobie trwam i robię różne rzeczy - Marzena wciąż podkreśla, że jest bardzo zwyczajna, a wypadek jej ani nie skrzywił, ani nie uwznioślił. W Kowarach remontuje mieszkanie po babci. Pracuje. Lubi spotkać się w knajpce z przyjaciółmi, usiąść w domu przy książce i poczuć wiatr na twarzy pędząc na rowerze. Marzy o podróży do Afryki, ale jeszcze bardziej o zachowaniu stabilizacji, niezależności i wielkim uczuciu. Wie na pewno, że miłość jej nie ominie, taka na całe życie. Jako nastolatka testowała chłopaków umawiających się z nią do kina, sadzając ich od strony, gdzie nosi protezę. Jak któryś chciał ją chwycić za kolano, a potem wystraszył się i więcej nie spotykał - był skreślony.

O tym, że pomaga niepełnosprawnym dzieciakom, mówi niewiele.

- To nie jest terapia , tylko bycie razem - zaznacza. Kiedy była w szkole średniej, przy parafii w Kowarach działała w grupie oazowej zajmującej się dziećmi z Downem. Grupa rozpadła się dawno. Przypadek sprawił, że przed rokiem Marzena poznała Korynę prowadzącą warsztaty z dysfunkcyjnymi dziećmi. Potrzebna była pomoc w prowadzeniu rachunków. Zgłosiła się. A potem Koryna poprosiła Marzenę o pomoc w dotarciu do Ali. Ala nie wierzy w siebie. Niepełnosprawna ruchowo dziewczynka zadaje sobie za dużo pytań: dlaczego ja. Tonia w pytaniach, rozgoryczeniu, niesprawności.

- Najchętniej zapakowałabym do woreczka trochę swojej wiary w siebie i podarowałabym ją Ali - wzdycha Marzena - Życie można brać zwyczajnie: „Było. Stało się. Nie zadaję pytań. Miałam żyć”.

Małgorzata Potoczak - Pełczyńska opublikowano w „Nowiny  
Jeleniogórskie”